

Jacek Siewiak SJ

Jeszcze się uda!



Felietony o wspólnych wyzwaniach

Wydawnictwo WAM

ENERGIA I PIEKŁO

Cena energii wzrasta, ale nie zapłacimy więcej. Jak to możliwe? Okazuje się, że zapłacimy, ale później lub niebezpośrednio (będzie to ukryte na innych rachunkach). Ma to uspokoić nastroje społeczne.

Podobne zabiegi stosujemy, gdy myślimy o piekle jako o odroczeniu konsekwencji naszych czynów. Nawarzyliśmy piwa. Nie chcemy go wypić, więc dzielimy się nim z innymi. Będzie to mniej nieprzyjemne. A najlepiej przesunąć to „picie” na tamtą stronę życia. Jeszcze dużo może się zmienić. Do tego liczymy na jakąś absolicję w godzinie śmierci.

W tym momencie, jako ksiądz, pewnie powinienem krzyknąć, że nie znamy dnia ani godziny. Problem jednak jest ciekawszy. Bo przecież płacimy już teraz. Ks. Kaczkowski powiedział ponoć kiedyś: „Chętnie pójde z Owsakiem do piekła”. Piekło mamy już tu i teraz. Wystarczy pomyśleć o przeżyciach rodziców, których dziecko umarło, bo zabrakło

(tu i teraz) odpowiedniego sprzętu medycznego. Wystarczy pomyśleć o atmosferze, którą tworzy stawianie na jednej płaszczyźnie pomocy państwa ściągającego obowiązkowe podatki z pomocą, jaką daje dobrowolna zbiórka WOŚP. Takie absurdy mają swoje konsekwencje. Tworzymy piekło wokół nas. I pewnie do takiego piekła chciał pójść Kaczkowski z Owsakiem. Tam, gdzie trzeba ponosić konsekwencje. Nie uciekać, nie zrzucać na innych, rozmywać i udawać, że nie istnieją.

Tworzymy piekło wokół nas. I pewnie do takiego piekła chciał pójść Kaczkowski z Owsakiem. Tam, gdzie trzeba ponosić konsekwencje. Nie uciekać, nie zrzucać na innych, rozmywać i udawać, że nie istnieją

Straszenie piekłem po śmierci może wydawać się szukaniem sprawiedliwości. Ale właściwie jest wyrazem bezsilności: skoro tu nie potrafię „dorwać” prześladowcy, to przynajmniej „oberwie” mu się po tamtej stronie. Teraz nie radzimy sobie ze wzrostem cen energii, to przerzucamy gniew ludzi na „po wyborach”. Jest to zaklinanie rzeczywistości.

Dlatego otrzeźwiające bywa powiedzenie „piekła nie ma”. To „nie ma” oznacza, że „jest”,

ale już tu i teraz. Już teraz jest czas zapłaty, nawet jeśli nie jesteśmy tego świadomi. Natomiast od nas zależy, czy pójdziemy do tego piekła. Możemy być do niego wrzuceni (wbrew naszej woli) i znosić straszną kondycję świata tak, a nie inaczej urządzonego. Ale możemy też do tego piekła na Ziemi pójść (świadomie i dobrowolnie), by na przykład jak Kaczkowski leczyć rany po Jankowskim (choćby u jednej tylko ofiary). I wtedy uwalniamy energię.

Bywa, że strach przed piekłem paraliżuje ludzi. Ale z drugiej strony, gdy postanowimy jednak stanąć ramię w ramię z niszczonymi przez piekło, gdy sprawiedliwości nie odkładamy na „po śmierci”, to bardzo często „dostajemy kopa”. I to nie jest tylko „kopniak” od wrogów, ale jak najbardziej energetyczny. Jest to zastrzyk energii. Bo wtedy mamy poczucie, że nasze „bóle” są potrzebne. To droga energia. Bo cenna...

BRAK SŁÓW

M*idbar* to po naszemu ‘pustynia’. Ale właściwiej byłoby (tłumacząc Biblię) odnosić się nie do pustki, lecz do miejsca bez słów, gdzie cisza jest tak dotkliwa, że dociera do nas trudne słowo.

Wzywa się nas ostatnio do ciszy nad trumną prezydenta Adamowicza. Rzeczywiście brakuje słów wobec tej zbrodni. Czujemy też, że to morderstwo jest wynikiem zbyt wielu słów, złych słów, że to finał nagonki. Dlatego nie dziwią milczące tłumy na placach miast. I jak najbardziej na miejscu jest pieśń o ciszy.

Ale też rodzi się podejrzenie wobec apeli o ciszę. Dlaczego ci, którzy szczuli, teraz żądają milczenia? Czyżby bali się rozliczenia ich ze słów?

Na ulice wylegli ludzie, którzy mają już dość słów pełnych jadu. Ich „tłumne milczenie” to protest wobec gadzinowej propagandy, wobec zohydzania przynoszącego śmierć. Bo niezależnie od poczytalności zabójcy współwinni

są ci, którzy uporczywie wskazywali mu cel, którzy „odczłowieczyli” w jego oczach ofiarę.

Lecz ten gniew, słuszny i wymowny, to milczenie pełne żalu i goryczy – mam nadzieję – będzie jak *midbar*, jak miejsce, gdzie przemawia sumienie. Będzie wyrzutem sumienia dla propagandzistów... Jednak to byłoby za mało. Przecież większość z nas dała się ponieść lawinie słów. Porwała nas ona i nie mieliśmy czasu ani chęci, by analizować i sprawdzać każdą wiadomość. Nie konfrontowaliśmy różnych źródeł. Poza tym pozwalaliśmy, by przy nas powtarzano oszczerstwa, używano mowy nienawiści, by poniżano słowem. Za pseudoprawdę nie wyrzucaliśmy z grona znajomych.

***Midbar to po naszymu ‘pustynia’.
Ale właściwiej byłoby (tłumacząc
Biblię) odnosić się nie do pustki,
lecz do miejsca bez słów, gdzie cisza
jest tak dotkliwa, że dociera do nas
trudne słowo***

Nie robiliśmy tak, bo to nie jest łatwe. Z manipulacją trudniej się dyskutuje niż z prostą nieprawdą. Potrzeba namysłu, analizy, potrzeba ciszy. A my często szukaliśmy ciszy głównie

po to, by się wyłączyć, by uciec, by nie myśleć... zamiast jej szukać, by pomyśleć...

Zasłyszane: „Ogólnie spory zryw jest teraz. Podobnie było z JP II. I zaraz po Smoleńsku. I niewiele to zmieniło”. Boimy się, że ten ścisakający gardło brak słów to tylko krótkotrwała emocja.

Wspomniałem o wyrzucaniu z grona znajomych. Gdybyśmy wykluczali za to, że ktoś ma inny punkt widzenia, tobyśmy tylko wzmacniali lawinę słów prowokujących eksterminację. Dialog bez różnic staje się monologiem. Słowo usłyszane na *midbar*, w ciszy – domaga się dialogu, by nie było tylko intuicją. Ale też trudno nie zgodzić się z tymi, którzy mówią: „Tego nie da się oglądać!”. Iluż ludzi chciało posłuchać argumentów „drugiej strony” i nie dało się!

Manipulacja blokuje dialog. Dlatego pewnie trzeba nam spojrzeć w twarz, która mówi mi „Nie zabijesz mnie” – spojrzeć w oczy, pogadać twarzą w twarz, gdy wkoło jest czas i cisza (*midbar*). Wtedy trudniej o kombinowanie, a szczucie staje się żenujące.

ZGORSZENIE CZY ZBUDOWANIE?

Dzieci trzeba zabrać z ich rodziny, gdy doświadczają w niej przemocy, wykorzystania seksualnego i lęku nie do zniesienia... Zdarza się, choć rzadko, że taka rodzina się zmienia i przestaje być miejscem zagrożenia. Wtedy mogą wrócić. Nie jest to łatwa decyzja. Wymaga odzyskania utraconego zaufania. Czy powinny stymulować ją pieniądze? Czy gmina w zamian za częściowe odzyskanie poniesionych kosztów (co teraz chce się wprowadzić do prawa) nie będzie podejmowała zbyt pochopnych decyzji o powrocie dzieci tam, gdzie przedtem nie dało się żyć?

Takie trudne decyzje, by budowały, a nie gorszyły, nie mogą być obciążone podejrzeniem o finansową motywację decydentów. Powrót za wszelką cenę jest brakiem odpowiedzialności, jest narażaniem na ponowne piekło. Nie może tam chodzić o pieniądze, nawet

jeśli one mają być zachętą do intensywniejszego starania się, by dzieci wróciły na łono swojej rodziny.

Z podobną troską trzeba spojrzeć na zachęty do powrotu do pierwszego małżeństwa. Komunię sakramentalną dla ludzi żyjących w ponownych związkach niektórzy nazywają gorszącym przyzwoleniem na rozwody. Warto zastanowić się, co naprawdę w takich sytuacjach nas gorszy, a co buduje.

Bywa, że powracanie do pierwszego związku jest nawet niemoralne, bo naraża na wykorzystanie i przemoc. Jednak istnieje też strach przed nowym związkiem. A jak się ponownie nie uda? Jak dzieci zareagują?

Ludzie rozstają się i rzadko wina leży tylko po jednej stronie. Ważne, co dzieje się potem. Wielu uważa, że trzeba stworzyć nowe, bezpieczne środowisko dla dzieci i dla siebie. Czy to nazwiemy brakiem odpowiedzialności? Czy to nas gorszy?

Ktoś powie: Rozumiem ucieczkę z toksycznej sytuacji, rozumiem separację. Ale po co nowy związek? Jeśli ci chodzi tylko o dobro dzieci, to po co ci nowy mąż?

Nowe, bezpieczne środowisko – to nie tylko dom dla samotnej matki, choć w okresie przejściowym może być konieczny jak pogotowie. To nie wystarczy. Trzeba stworzyć rodzinę, w której ludzie będą w miarę dojrzaלי emocjonalnie. Dbalność o siebie jest warunkiem dbalności o innych. Nadopiekuńczy rodzic (bo np. samotny) jest zagrożeniem dla dzieci. Łatwiej stworzyć zdrowe, naturalne środowisko pełne miłości, gdy jest się w zdrowym związku. Czy osłabianie go, na przykład przez brak współżycia, nie jest brakiem odpowiedzialności?

Bywa, że powracanie do pierwszego związku jest nawet niemoralne, bo naraża na wykorzystanie i przemoc. Jednak istnieje też strach przed nowym związkiem. A jak się ponownie nie uda? Jak dzieci zareagują? Wiemy, że uzależnienie finansowe utrudnia uwolnienie się od „chorego” związku. Ale i budowanie nowego bywa zagrożone przez finanse: co będzie z „zabezpieczeniem” moich dzieci, gdy ja umrę wcześniej?

Co nas buduje, a co nas gorszy? Mnie cieszy, gdy ludzie próbują znowu uwierzyć w miłość. A osłabia mnie, gdy już jej nie ufają.

PAMIĘĆ I BEZTROSKA

Pamiętamy!”, „Nigdy ci tego nie zapomnę!” – takie wyrażenia mogą być pozytywne, ale mogą również zasmucać. Pamięć może służyć uczeniu się na błędach, a może i podsycać nienawiść. Historycy starają się dostarczyć nam obiektywnego materiału. Ale to, co my z nim zrobimy, to zupełnie inna bajka.

Od czego zależy smak naszej pamięci? Wydaje mi się, że od troski. Jeżeli pamięć dzieli, to wspólne troszczenie się przybliża. Papież Franciszek mówi o „ekumenizmie miłości”. Tam, gdzie wspomnienia historycznych zaszłości wzmagają dystans, tam nie ma innego wyjścia z impasu jak wspólne pomaganie, jak stanięcie ramię w ramię; pot, brud, zmęczenie i uśmiech, radość z bycia dla innych, wspólnego bycia... Wtedy pamięć otrzymuje inną perspektywę.

Nie chodzi oczywiście o to, byśmy instrumentalnie podchodzili do pomocy charyta-

tywnej (dla spokoju sumienia). Ale jednym z owoców trudzenia się ramię w ramię może być troska o pamięć, czyli „obudzenie” wrażliwości, branie pod uwagę pamięci tych, z którymi razem pomagamy. Bo przecież beztroskie podejście do pamięci (czy to w skali rodziny, czy społeczeństw) to często sposób na poniżanie i na kreowanie wroga: „Bo wy zawsze...”.

**Beztroskie podejście do pamięci
(czy to w skali rodziny, czy społeczeństw) to często sposób na
poniżanie i na kreowanie wroga**

Taka beztroska prowadzi też do aplikowania niegdyśiejszych rozwiązań do nowych kontekstów. Prostym przykładem jest tęsknota za wojną (jako przedłużeniem polityki) w epoce zagrożenia nuklearnego. Innym przykładem może być argumentacja z *Manifestu wiary* kard. Müllera (w spektakularny sposób odwołanego przez Franciszka ze stanowiska prefekta Kongregacji Nauki Wiary).

Kard. Kasper (też Niemiec) wskazał na wiele błędów w tym manifestie, m.in. wypomina mu, że gdy krytykuje papieskie zezwolenie na ewentualne przystępowanie do komunii żyjących w powtórnych związkach, to cytuje

nr 1457 Katechizmu Kościoła Katolickiego. Kasper zajrzał tam... i nic nie znalazł o ludziach w takich sytuacjach.

Jest tam więcej takich „zapomnień”. Ale szczególnie niepokoi język. Kasper zauważył, że aluzje do Antychrysta i straszenie piekłem jako żywo zostały wyjęte z krytyki Marcina Lutra wobec ówczesnego papieża. Nie sądzę, by Müller chciał stać tam, gdzie „wtedy stał” Luter. Niestety, gdy beztrosko używamy pamięci, ryzykujemy śmieszność.

Papież Franciszek w ZEA wraz z muzułmanami zaapelował o troskę. Wspólna obrona wiary przed wykorzystywaniem jej przez terrorystów i nacjonalistów ma być budowana na wspólnym działaniu (np. na rzecz kobiet).

Gdy biskupi w 1965 roku wybacжали i prosili o wybaczenie, propagandzie reżimowej łatwo było ich krytykować. Po pomocy, jakiej doznaliśmy od Niemców w latach osiemdziesiątych, wybiórcze podejście do pamięci już niewielu przekonywało.

CELIBAT I PEDOFILIA

Pedofilia zdarza się w każdym środowisku. Pedofilami bywają single i ludzie w związkach małżeńskich (bardziej lub mniej formalnych). Nikt nie może powiedzieć, że niedojrzałość emocjonalna mu nie grozi.

A jednak jeśli chcemy być skuteczni, musimy zastanawiać się nad strukturami zła. Czy istnieją warunki sprzyjające szerzeniu się pedofilii? Wiadomo, że pod lupę idą miejsca, gdzie dzieci i młodzież są wychowywane: szkoły, internaty, kluby sportowe, chóry, obozy i kolonie – świeckie i kościelne... Tam łatwiej o okazję. Sprzyjają też rodziny patologiczne, z których dzieci uciekają od swoich i lgną do kogoś, kto zdaje się odpowiadać na ich braki emocjonalne.

Jednak trudno nie zauważyć, że Kościół to środowisko szczególnego zaufania społecznego. Dają do myślenia badania (w USA) pokazujące, że o ile wśród świeckich w znacznej

większości pedofilia miała charakter heteroseksualny, o tyle wśród kleru była głównie homoseksualna. Zatem środowisko księży jest specyficzne. Czym różni się od innych grup mających „zawodowy” dostęp do dzieci? Obowiązkowym celibatem. Nie celibatem, ale obowiązkowym celibatem.

Wśród wychowawców, instruktorów, trenerów są single. Kiedyś w dobrym tonie było, by nauczyciel nie zakładał rodziny. Ale to minęło.

Nie sam celibat, ale to, że jest on obowiązkowy, tworzy specyficzne środowisko, które przyciąga do kapłaństwa osoby bojące się małżeństwa

Jedynie wśród duchowieństwa celibat jest nie tylko obowiązkowy, ale i zalecany, a nawet wychwalany. Trudno nie zauważyć, że takie środowisko przyciąga osoby, które nie chcą zakładać rodziny. Tam jest to akceptowane społecznie. Nie dziwi więc, że wśród kandydatów do tego stanu jest sporo osób, które mają problem z założeniem rodziny. Ze względu m.in. na niedojrzałość emocjonalną. (To nie dotyczy wszystkich. Dla wielu duchownych celibat to wyrzeczenie złożone na ołtarzu duszpasterzowania).

„Bezpieczniejszy”, czyli bardziej godny zaufania, jest wychowawca żyjący w dojrzałym związku emocjonalnym. Mówiąc potocznie: dobra żona lepiej chroni niż brak żony. Stąd podejrzane jest środowisko, gdzie tak łatwo ukryć się ludziom z problemami emocjonalnymi. A przecież wolimy powierzyć swoje dzieci komuś, kto jest „nienaganny, mąż jednej żony, [...] dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością. Jeśli ktoś bowiem nie umie stanąć na czele własnego domu, jakżeż będzie się troszczył o Kościół Boży?” (1 Tm 3,2.4–5).

Podsumowując: Nie sam celibat, ale to, że jest on obowiązkowy, tworzy specyficzne środowisko przyciągające osoby, które (świadomie lub nie) boją się małżeństwa. Kościół nie radzi sobie z niedopuszczaniem ich do kapłaństwa. Może by sobie radził, gdyby celibat dla księży był opcjonalny, a więc nie tak oczywisty i stąd podlegający lepszej weryfikacji?

BAL A POST

Skończył się karnawał. Powraca wysiłek poważnego myślenia o dietach. Należymy do tej części ludzkości, która by żyć dłużej, musi ograniczać swoją konsumpcję. Skończył się „bal”, trzeba podratować zdrowie. Dla wielu Wielki Post wpisuje się w ten wysiłek.

Post to jednak nie tylko dbanie o siebie. Jest związany z dbaniem o innych. Odma-
wiamy sobie, by dać biednym. Stąd tradycja balów charytatywnych. Huczna zabawa połączona ze zbiórką na szlachetny cel. Celebryci, dbając o swój wizerunek medialny, pokazują się przy akcjach charytatywnych. Nikogo nie oskarżam o nieszczerłość, ale często wygląda to na usprawiedliwianie bogactwa. Mam dużo, ale jestem wrażliwy na biednych, więc mogę tyle mieć. (To się sprawdza zwłaszcza w sektorze prywatnym. Bo w państwowym już nie tak łatwo usprawiedliwić horrendalnie wysokie zarobki).

Korzystając z takiego trendu, „działacze pomocowi” przyjaźnią się z bogatymi, by pomóc potrzebującym. Również duchowni zabiegają o względy bogatych, by coś kapnęło na biednych. Przez wieki taka metoda wydawała się skuteczna.

A jednak skuteczna nie jest. Ta część ludzkości, która by przeżyć, musi więcej (a nie mniej) jeść, wcale nie znika. Na takie *dictum* myślimy sobie: „Ale to daleko. My na to nie mamy wpływu. Marnujemy żywność, to prawda, lecz jaki to ma wpływ na sytuację biedaków? Nędza na świecie zależy od globalnych procesów, a nie od mojego poszczenia, od mojego samoograniczania się”.

To zupełnie coś innego przyjaźnić się z zamożnymi, by wyciągnąć od nich pieniądze na biedaków, a przyjaźnić się z biednymi, by im sensownie pomóc

Tak się „uspokajamy”, gdy przyjaźnimy się z bogatymi. Gdy śledzimy ich życie, gdy ono nas pociąga (choćbyśmy się do tego nie przyznawali), wtedy patrzymy z ich perspektywy.

Zupełnie inaczej jest, gdy przyjaźnimy się z biednymi. Gdy z nimi potrafimy zasiadać (nie raz i nie dwa) do wspólnego stołu. Gdy

mogą gościć u nas (por. Łk 14,12–13), a my u nich. Wtedy poznajemy ich perspektywy. Ale do tego trzeba dostosować styl życia.

To naprawdę zupełnie coś innego przyjaźnić się z zamożnymi, by wyciągnąć od nich pieniądze na biedaków, a przyjaźnić się z biednymi, by im sensownie pomóc. Wtedy już nie chodzi o spokój sumienia, ale na przykład o dostrzeżenie, że nasza planeta to wspólny dom.

Filmik z Dorocińskim demolującym własne mieszkanie gra na naszych emocjach, by pokazać, że niszcząc środowisko naturalne, unicestwiamy własny dom. Pokazuje też, że łatwiej nas przekonać, gdy jesteśmy emocjonalnie związani z tym, co niszczone. Gdybyśmy obejrzeliby nędzną tekturową budę z jakichś odległych faveli czy przegniłą altankę, to nasza reakcja byłaby inna. Dlaczego? Bo nie bywamy w takich miejscach, nie znamy ich gospodarzy i nie widzimy w nich takich samych ludzi jak my.

Punkt widzenia zależy od... naszych przyjaźni. A one kształtują punkt siedzenia.